

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc”
przy Państwowych Seminarjach Nauczycielskich w Białymstoku

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 40 gr., cena numeru w miejscu 40 gr. z przesyłką 50 gr.

TREŚĆ NUMERU.

- | | |
|--|-------------------|
| 1. U progu życia | Z. Tymińska V. ż. |
| 2. Być czy nie być silnym? | Z. W. |
| 3. Urok wiosny | S. IV. ż. |
| 4. Złoty promień | „Skała”. |
| 5. W Muzeum Wojskowym w Warszawie | IV. ż. |
| 6. Potoki | Bożenna I ż. |
| 7. U wodogrzmotów Mickiewicza | Dudziński. |
| 8. Dzień harcerstwa | „Skała”. |
| 9. Do gwiazdy | Dudziński. |
| 10. W naszym internacie | I. P. I m. |
| 11. Wieczór ku czci patrona I kursu męskiego | I. P. I m. |
| 12. Kronika. | |
| 13. Odpowiedzi Redakcji. | |

Adres Redakcji i Administracji: „Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku № tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: P. Gajdzica.

Redaktor: K. Kottowski

Wiceredaktor: E. Bielawska.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku

U progu życia.

Po latach trudu i zmagania, po nieskończonym szeregu chwil radości i szczęścia, czasem smutku czy niepokoju, nadchodzi dzień epokowy w mem życiu, dzień, kiedy mnie opuści uczniowska bez troska, a celem stanie się przedewszystkiem ciężka praca twórcza. W miarę, jak dzień egzaminu dojrzałości staje się coraz bliższy i bliższy, opanowuje mnie taki nawał różnorodnych uczuć, taki chaos myśli i planów, wprost trudno mi zdać sobie sprawę z obecnego stanu mego ducha. Jedno tylko uczucie siłą swą wybija się z tego chaosu i góruje nad nim — uczucie radości życia, które mnie nie opuszcza w momentach, nawet tak ważnych i trudnych, jak chwile przed egzaminem.

Bo też kocham ja życie serdecznie! Kocham jego wloty, co ducha mego kąpią aż hen, w błękicie, kocham tęczowe jego blaski i cuda... Żyję sercem, w myśl zasady, że kto sercem żyje, ten dwa razy żyje. Żyję więc sercem i marzę, a przez to na ziemi jestem już jak w niebie. Egzamin maturalny przypomina mi właśnie, że kiedy nie będę tak bardzo, jak obecnie, zagłębiona w pracy szkolnej, która niezawsze odpowiada wszystkim moim skłonnościom intelektualnym, wtedy dopiero odetchnę pełnią życia i będę swobodnie marzyła. Mam wrażenie, że pełni zimnej rozważli mędracy świata nie mogą śnić snów tak pięknych, jak my, młode entuzjastki. Teraz, gdy stoję dopiero u progu życia, pragnę, by w sercu mem rozbrzmiała wiosną pieśń szczęścia i by się nie dała nigdy już zagłuszyć żadnym wichrom jesieni. Boję się takiej jesieni, bo czuję, że gdyby nadeszła, wtedy los zmieniłby mnie zupełnie i niemiałabym już w duszy ni tęczowych snów i blasków, ni błękitnych rojeń. Tymczasem zaś tak dobrze żyć marzeniami, tak pięknie!

Czuję w sobie tyle szczęścia, że chciałabym się niem podzielić z tymi, co smutni są i nieszczęśliwi, bo wiem, że gdy:

We mgle rannej lotny, szklany
Dzwoni szczęściem mój głos —
Zgięci bólem i rozpaczą
Gdzieś po kąta ch ludzie płaczą... (Ujejski).

Chciałabym coś dla nich uczynić, aby im choć na chwilę wykwitł uśmiech na pooranych łzami, zmarszczonych przedwcześnie twarzach. Ale mogę tego dokonać dopiero po maturze, teraz chęci me są zaledwie altruistycznym projektem, marzeniem, które... czy się ziści? Więc:

Młodości moja, nie bądź mi snem marnym —
Wykuj marzenia twe w żelazne czyny (Ujejski).

Życie to walka, w której z zimną rzeczywistością zмага się stęskniony do szczęścia człowiek, wieczny marzyciel. Snuje on nieraz świetlane plany, ale przyjdzie los nienawistny i starga je niemilosierdzie. Lecz choćby nawet najmocniejszy piorun nieszczęść w nas uderzył, trzeba zolbrzymieć, wznieść się ponad lzy i ból, stać się podobnym do dębca, o którym Ujejski mówi, że „burze mu w dzikiej walce nie dostoją, a grom go nie schyli, chyba go połamię!” Walka jest istotą bytu, a spokój—powolnem życia konaniem. Pędźmy więc śmiało w burze życia, „walczmy i zwyciężajmy!” — jak powiedział Mickiewicz. W zmaganiu się z przeszkodami doda nam sił młodość, więc modlę się do niej z Ujejskim:

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!
Prowadź do celu i drogą cierniową...

Tego pragnę u progu życia!

Czy mi jednak nie zabraknie sił, gdy przyjdzie zrealizować tężowe śnienia? Przecież są w życiu chwile, są takie chwile:

Że zapał gaśnie w codziennym pyłe,
Że grążym w bagnie skrzydła motyle...

U progu życia chciałaby dusza człowieka nie splamić swych białych skrzydeł pleśnią życia, chciałaby przelać swą wieczną tęsknicę w mocarną pieśń wzniesłego czynu, lecz życie tak się nieraz dziwnie plecie na tym Bożym świecie!.. Dusza tak łatwo traci górny lot i zapomina o „wczorajszych snach”!

Ale precz z małodusznością! Czynu wytrwałego! Czynu— „choć droga stroma i śliska”. Młodości moja! Prowadź do celu i drogą cierniową! Tak oto wołam głosem serca i rozumu, kiedy stoję u progu życia.

Kurs V. z.

Z. Tymitńska.

Być czy nie być silnym?

Warto, by każdy z nas zastanowił się nad tem, co oznacza wyraz „siła”.

Zarówno ci, co sportu nie znają, jak i ci, co żywią dla sportu niechęć, skłonni są do sprowadzania istoty ćwiczeń i zawodów sportowych do rozwijania siły mięśniowej. Ulubionym ich argumentem przeciwko sportowi jest, że „zaprawiając siłę nóg lub rąk, zaniedbujemy głowę”. Na głowę, w ich pojęciu, sport ma oddziaływać źle. Nawet znalazł się i taki „znawca”, który napisał, że p. Lenglen, słynna tenisistka francuska, ma za wielką głowę, wskutek nadmiernego uprawiania sportu. Wolno nam jednak przypuszczać, że w tej, może trochę za dużej, głowie (jeśli obserwacja szanownego autora jest słuszną) niema chyba wody. Zato ileż wody sączy się pocichutku z głów „pisujących” na papier cierpliwy, z tych głów, które, same nie dysponując silną, posłuszną woli muskulaturą, z obrzydzeniem patrzą na ludzi dobrze zbudowanych i krzepkich.

Każdy czyn sportowy jest zjawiskiem dość złożonem. Trzeba tu chcieć czegoś dokonać, a więc — element woli! Trzeba mieć czem wykonać, a więc—potrzeba siły mięśni! Trzeba też umieć wykonać, a więc — konieczny udział nerwów, rządzących mięśniami!

Bez siły mięśni niemasz siły nerwów, ani siły woli. Jeżeli mówimy, nie bez racji, że w sporcie chodzi nie o siłę, ale o sprawność, to jednak nie możemy zapominać, że materiałem, który sprawność okazuje, są mięśnie.

Zdolności umysłowe są siłą mózgu.

Odwaga, męstwo, to przejawy siły ducha.

Sprawność nerwowa polega na sile mięśni, tak samo jak energia życiowa.

Był czas, że przeciwstawiano siłę myśli i siłę uczuć — mocy fizycznej mięśni!

Okazało się to jednak omyłką przyrodniczą.

Dzisiaj popełnia się nieraz błąd inny.

Przeciwstawia się siłę mięśni — sprawności ruchowej!

Przeciwstawiania są tu całkiem zbędne. Klucz do zagadnienia leży nie w przeciwstawianiu, ale w zharmonizowaniu.

Kto wyosobni w swych zabiegach jakieś funkcje życiowe i będzie je rozwijał kosztem innych — rozwinię się jednostronnie. Siłacz, który pragnie popisywać się swą przerosłą do potwornych rozmiarów muskulaturą, zaniedba napewno sprawność myślową i nerwową. Sportowiec, który nic innego niema w głowie, jak trening i zawody — rzecz prosta — ubożeje pod wzglę-

dem duchowym. Ale też i myśliciel, śleczący nad stołem całymi godzinami, staje się roztargnionym, niezyciowym mózgowcem, pozbawionym sprawności nerwowo-mięśniowej.

Przesadnie się podkreśla, że potrzeba narodowi naszemu talentów do pracy naukowej, do organizacyjnej, do twórczości artystycznej i t. d. Ale talenty, z konieczności trafiające się u jednostek stosunkowo rzadkich, same przyszłości nam nie zapewnią.

Potrzeba nam ludzi silnych.

Z. W.

Urok wiosny.

— Dziewczynki, kurs IV na hospitację w II oddziale na 5-tej godzinie. Rozkład zmieniony, proszę brać zeszyty i naddół, a nie spóźniać się! — woła przewodniczka.

W klasie na chwilę zamęt.

— Co?! hospitacja?! Nie jesteśmy przygotowane — odzywa się z kąta głos. — A tak! — woła już zgodny chór — idź, powiedz, że nie mamy zeszytów! Hałas nie do opisania.

Biedna przewodniczka perswaduje, że przecież każda z nas ma jakieś bruljony, gdzieby można było notować. Nic nie pomaga.

Z chwilą jednak, kiedy dzwonek oznajmił koniec przerwy, większość już była w oznaczonej klasie, na miejscu.

Dzieci wchodzą parami i zasiadają rzędem przy stolikach.

— Irko, Alfons — zwraca się nauczycielka do dzieci z ostatnich rzędów — usiądźcie tu, bliżej mnie!

— Mało was — uśmiecha się w dalszym ciągu pani. Tak, mało dzieci. I myśmy już zauważyły.

Mniej gwaru i ruchu, niż zwykle. Trzeba zaznaczyć, że były to oddziały połączone i pierwszy po 4-tej lekcji poszedł do domu.

Odrąz z pierwszych słów pani wyczułyśmy, że coś ciekawego się zapowiada.

Na stole, przy tablicy, stała doniczka z amarantowym hiacyntem. Zarówno oczy dzieci jak i nasze pilnie śledziły poruszenia nauczycielki.

— Proszę pani — odzywa się głosik — czy można kwiat bliżej postawić, ot—tu, na tym stoliku?

— Można — odzywa się głos — zaraz to zrobimy.

I doniczka z bogato rozkwitłym hiacyntem przeniesiona zostaje z poprzednio zajmowanego miejsca i postawiona tuż przy dzieciach.

— Aaa! jak kwiat pachnie! — rozlegają się westchnienia maleństw.

Istotnie! I my, zamiast notować, starałyśmy się ocenić, przynajmniej w imaginacji, zapach pierwszych wiosennych kwiatów.

Każdej myśl dostrajała się do poziomu tych maluczkich i każda z nas żałowała, że nie może sięgnąć przy stoliku i, tak jak one, obejrzeć ów kwiat, a nawet dotknąć go leciuchno.

Tymczasem dziwnie wyglądała sama klasa, zalana słońcem przedwiosennego dnia, z dziećmi, skupionymi w jednym kącie klasy od drzwi, oraz z pustymi rzędami świecących, politurowanych stolików.

Nastrój się jeszcze bardziej podniósł, kiedy pani zajęła miejsce wśród gromadki dzieci i zaczęła pogadankę, w której omówiła hodowlę danych kwiatów i kwitnienie. Nauczycielka rzuca pytania, niekiedy dzieci odpowiadają z ogromnym żywieniem, czasami pani sama mówi uśmiechnięta i jakaś rozradowana.

— Są to hiacynty, kwiaty, związane ze świętem Wielkanocy.

— Rosną prawie-że w zimie, kwitną wczesną wiosną. W dalszym ciągu dowiadują się dzieci, jak można wyhodować kwiat, by cieszyć się później jego barwą i wonią, kiedy jeszcze śnieg naokoło.

Ile czasu i trudu trzeba poświęcić, zanim wyrosnie z cebulki zwiastun powracającej wiosny.

— Czy widziałyście kiedy hiacynty?

Chwila ciszy i chór.

— Tak, proszę pani — głos niesfornego zwykle chłopca brzmi tym razem inaczej, chociaż, jak zawsze, wyróżniająco. — Moja mamusia — woła on — miała je, proszę pani, moja mamusia...

— A ja widziałam u ogrodnika na wystawie! — nieśmiało przerywa mu dziewczynka.

— A widzicie — mówi pani — Stasia widziała u ogrodnika. Czy dużo was widziało?

Podnoszą się rączki.

— O czym to świadczy, jaki to znak?

— Wiosna idzie — wołają maleństwa.

— Słusznie, kwitnienie hiacyntów mówi nam, że się wiosna zbliża, zauważa z uśmiechem nauczycielka, widać też radosny uśmiech dzieci.

Jakieś niewidzialne nitki sprzęgają się, atmosfera w klasie drży oczekiwaniem i radością.

Patrzmy na „naszą panią”, która siedzi z nami. I ona się uśmiecha i patrzy ponad płowe główki.

Przed nami świecą puste kartki.

— Taką lekcję i bez zapisania będę pamiętała—zauważa cicho, na usprawiedliwienie się własne, moja sąsiadka.

Oddychamy wszystkie szeroko i wsłuchujemy się w ton, w jakąś nieokreśloną melodię, która nie tylko nam, ale i malutkim istotkom się udziela.

Za oknami, w parku tyle słońca, — myśl z tęsknotą przy czają się cicho, cichutko, by nie płoszyć nastroju.

W klasie ciasno od obrazów, które wytwarza każda głowa. Jedne przywołują na pamięć lasy, gdzie kwitną skromne przyziemne fijołki, inne—wiązanki białych drżących dzwoneczków, konwalij...

Dzieci ożywione.

— A jak to będzie? — wrywa się głosik.

— Co jak będzie? — zauważa nauczycielka.

Zwykle dosyć ospała i bierna Irka wstaje i aż podchodzi do doniczki, a pokazując paluszkami, ponawia pytanie: Jak to będzie, proszę pani, kiedy liście zeschną i utworzą się badyle?

— Myślisz hodować, co, Irko? — śmieje się pani.

— Czekaj, myślałam o tem, że dobrzeby było, gdybyśmy wszyscy na przyszyły rok wyhodowali sobie z tego kwiatu nowe hiacynty, jak się wam podoba, dzieci, dobra myśl?

— Dobrze! dobrze!—krzyczy mały zespół głosów, lecz po chwili drżąc i smutnie brzmi skarga:

— Ale pani już z nami nie będzie.

— No to cóż z tego?—Inna pani wam pomoże—pociesza nauczycielka.

— Nie, my chcemy tylko z panią, wydziera się protest z kilkunastu gardziółek.

Następuje wreszcie czytanie z Płomyczka: „Po czym Piotruś poznał wiosnę?”. Dzieci czytają, opowiadają odstępami, w których występuje kolejno rozwój poznanego kwiatu, opowiadają przy pomocy pani całość!

Dzwonek.

Małe główki z ociąganiem podnoszą się z krzesełek, czują one, że to co było, było piękne i jakieś kochane, bliskie im.

A my?

Wstałyśmy inne. Zmęczenie po 5-cio godzinnej pracy uleciało, każda twarz, ożywiona, wyrażała niemal zachwyt.

— Śliczna, śliczna była lekcja!

Odczucie nowo budzącego się życia, tajona radość, żywiołowy pęd do istnienia, wywołane jakby na zaklęcie słowem na-

uczycielki, rozjaśniło nietylko dziecięce twarzyczki, lecz i do dusz naszych wlało ożywcze tchnienie.

A wszystkie nas, twierdząc, oczarował kwiat i to umiejętnie podejście do tematu, przez co słowa nauczycielki brzmiały do końca tajemniczo i radośnie.

Warto popracować nad lekcją, by mieć choćby tylko to zadowolenie, że się komuś pozwoliło przeżyć i przemyśleć jakieś nowe zjawisko, nową prawdę. S. IV ż.

Złoty promień.

Z szarych mgieł, z chłodnych oparów, unoszących się nad polami i rozbudzonemi łąkami, wychylił się jasny, słoneczny dzień.

Śliczny, złocisty, kwietniowy ranek zaglądnął do okien.

Budząca się wiosna zajrzała do wszystkich serc, do wszystkich dusz, zamigotała promieniami, rozradowała..

W ten jasny dzień tłumy ludu śpieszyły na cmentarz.

Spojrzałam na ulicę: wśród tumanów kurzu przejeżdżały dorożki za dorożkami, auta za autami, a po obu stronach jezdnii, jak daleko okiem sięgnąć—zdązał lud nieprzebraną falą na „mogiłki”.

Fala ta pociągnęła i mnie za sobą.

Wyszłam za miasto i objęłam wzrokiem wszystko, co miałam przed sobą: z jednej strony ujrzałam jakoby las szarych nagrobków i krzyżów, a nad nimi smutnie kiwające się, nagie jeszcze konary drzew. Wszystko to opasane niskim murem z czerwonej cegły.

Jakiś przykry spokój, jakiś chłód powiał na mnie stamtąd. Odwróciłam się w inną stronę.

I tu zobaczyłam zupełnie co innego. Rozciągały się tu ogromne łąny pól, zdala czerniał las — a nad nim — wysoko — ogromna tarcza słoneczna, siejąca dobroczynne promienie na ziemię całą.

— Gdzie pójść?—spytałam siebie.—Czy tam, gdzie jasno, słonecznie, gdzie świat żyje i uśmiecha się, czy też iść do chłodnych, ponurych grobów?

Nie namyślałam się długo; chciałam w dniu tym być tam, dokąd śpieszyło tak wiele osób.

Poszłam na cmentarz odwiedzić umarłych; trzeba było na chwilę odstąpić od gwałnego, ruchliwego życia i myśl swą skierować na zupełnie niecodzienne tory.

Nie zatrzymałam się nad jakimś jednym grobem, bo nikt z „moich” tam nie spoczywa; obeszłam cmentarz dookoła i do-

szałam do miejsca za rowem, gdzie znajdują się mogiły samobójców i maleńkie, zapomniane kurhanki niechrzczonej dzieci.

Porównywałam te dwa rodzaje grobów i zrodziły się we mnie dwa zupełnie różne uczucia.

Dla pierwszych nie znalazłam ani współczucia, ani żalu; przeszłam koło nich obojętnie. Jakaś nawet pogarda zrodziła się w mej duszy.

Któż to są ci odosobnieni?

To ludzie, którzy stchórzyli przed życiem.

Nie sztuka jednak umrzeć, nie sztuka przeciąć pasmo dni swoich samobójstwem, ale sztuką jest właśnie żyć i umieć znosić mężnie wszelkie kłopoty i udźwignąć ten ciężar trosk, które życie nakłada na barki nasze.

A cóż wzbudziły we mnie małe mogiłki?

One nasunęły mi myśl, że jednakże dziwnie są postawione pewne sprawy na świecie.

Oto dlatego, że okoliczności nie dozwoliły udzielić tym niewinnym istotkom Sakramentu Chrztu, muszą one leżeć tam—razem z samobójcami.

Weszłam na cmentarz właściwy. Jedni ludzie oczyszczali groby, inni zapalali na nich świeczki, jeszcze inni klęczeli obok mogił i uporczywie wpatrywali się w napis, wyryty na grobowcu.

Może odtwarzali sobie w umyśle postać, której imię i nazwisko wypisane jest na krzyżu; wspominali chwile z nią spędzone za życia, wreszcie—może modlili się za spokój jej duszy?

W tej chwili rozkołysał się dzwon na wieży kościołka cmentarnego. Dźwięki jego rozbrzmiewały po całym cmentarzu, odbijały się o nagie konary drzew, o zimne groby i wracały do uszu ludzi.

Z chwilą rozpoczęcia się mszy św. zamilknął dzwon, pu-
sto jakoś się zrobiło i cicho.

Wokoło klęczał i stał rozmodlony lud, a w powietrzu unosił się zapach stearyny dopalających się świec.

Nic już teraz nie obchodziły mię blaski słońca.

Nie widziałam ich nawet, przede mną były tylko szare i czarne groby, groby i groby.

W duszy mej rozgościła się ponura myśl o śmierci i, jak mi się zdawało—nieużyteczności życia.

Było mi w tej chwili tak smutno, że bałam się podnieść oczy na ludzi, aby nie ujrzeć jakiejś twarzy uśmiechniętej. Uśmiech taki wydałby mi się jakąś obłudną sztucznością, jakimś bezpodstawnym radowaniem się.

Nurtowały mię pytania: dlaczego przychodzi ta śmierć? dlaczego ścina swoją kosą, nie wybierając? Zabiera ludzi, któ-

rzy „nażyli się”, poznali życie z wszystkich stron i którzy może już chcą odejść; a oprócz tego ścina innych ludzi, młode kwiaty, które były ozdobą, szczęściem i radością żyjących, w których ci pokładali może wielkie nadzieje!...

— Więc jeżeli tak jest—myślałam—poco tyle trudu, poco człowiek w życiu ma znosić tyle cierpień, pracować, cieszyć się z cieszącymi, smucić ze smucącymi?

Wszystko tedy jedno: przyjdzie śmierć i skosi tę pracę, może w najbujniejszym jej rozkwicie...

Z tego wniosek, że trzeba żyć, ot, aby żyć, gnuśnieć poprostu, niczem się nie zajmować, niczem nie przejmować i czekać cierpliwie kresu. Czyż tak?...

Nie wiem, dokąd doprowadziłyby mię myśli podobne—lecz wtem zaintonował ksiądz Anioł Pański za dusze zmarłych.

Lud pochwyił słowa i melodię i popłynęła dokoła daleko pieśń, która mówiła za siebie, iż żyjący nie zapominają o tych, którzy odeszli, ale myślami żyją z nimi; że bynajmniej nie gnuśnieją, czekając kresu swego.

Zwolna podnosiłam wzrok, przesuwając go po różnych przedmiotach, wreszcie utkwiałam go w pewnym miejscu obok krzyża i zdumiałam!...

Ujrzałam coś, co przechodziło wszelkie moje oczekiwania, ale co mi było tak bardzo potrzebne w tej chwili.

Oto przesunął się przede mną jakowyś złoty blask, migoczący tysiącem promieni, zjawił się, niby złoty promień szczęścia, rozjaśniający smutne moje myśli.

Chciałam biec w tę stronę, a nie mogłam z miejsca się ruszyć; patrzyłam tylko i patrzyłam, uśmiechałam się mimowoli do tego nieoczekiwanego pocieszyciela, aż wreszcie stanęły przede mną, jak żywe słowa:

„Mamy żyć tak, jakbyśmy nigdy nie musieli umrzeć“.

Zrozumiałam je. Pierzchnęły czarne myśli i ujrzałam znów świat jasny i piękny.

Teraz wiem, że dopóki w duszy mej będzie istniał ten jasny promień, który ukazał mi się w smutnej chwili na cmentarzu, dopóty każda praca będzie dla mnie pociągająca i miła, a każda chwila życia pożyteczna i rozumiała.

Cóż to był za błysk słoneczny? Nie umiałabym tego opisać. Wiem tylko, że był to najjaśniejszy z promieni, bo wniknął aż do duszy mej, najlepszy, bo wyprowadził mię z błędnego koła myśli, więc nie zapomnę go nigdy.

Gdy wyszłam z cmentarza, ujrzałam wielką, niebieską tafelę stawu opodal, migoczącą promieniami, a nad nią i wszędzie dokoła słońce! słońce! słońce!

Skala.

W Muzeum Wojskowym w Warszawie.

Śnili mi się dziś w nocy rycerze, matulu...
Pod oknami chrzęściła ich zbroja...

Plac zamkowy w Warszawie, ulica Podwale, numer domu piętnasty. To Muzeum Narodowe i Muzeum Wojska. Ciemna sień, potem kancelarja. Wchodzę do sali. Szable. Ciemne, poczerńiałe od starości. Jaka ich przeszłość? Komu służyły, zanim spoczęły tutaj spokojnie? Sztandary. Mnóstwo ich, ściśniętych, ani przeczytać, co na każdym napisano, tylko duża tablica mówi, skąd pochodzą. Zbroje husarskie, hełmy, drucziane koszulki. Zda się, zaraz załopocą chorągiewki i koń z siedzącym na nim husarzem ruszy majestatycznie naprzód. Lecz to wszystko jakby przygrywka, jakby zapowiedź tego, co będzie dalej. Pamiątki z Księstwa Warszawskiego. Mundury, które były wśród wrzawy walki, wśród szczęku oręża. Wzory umundurowania różnych chorągwi z tych czasów. Popiersie Napoleona. Dokoła niego rozchodzą się kolorowe promienie z napisami: Marengo... Ulm... Austerliz... A pośród tych napisów kula z pobojowiska pod Waterloo, dar muzeum wojskowego w Paryżu. To siostra tych kul, które przecięły pasmo życia tylu istot i które przyczyniły się do upadku „Boga Wojny”. Dalej Dąbrowski, księżę Józef—pamiątki po nich. Świetlane postacie tych rycerzy zdają się być gdzieś blisko... Powstanie Listopadowe... Olszynka grochowska... Ostrołęka... Postać generała Bema... Chłopicki... Skrzynecki... Prądyński... Noc belwederska i cały przebieg powstania przesuwają się przed oczyma duszy, jak wizja, wywołana temi mundurami, czapkami, krzyżami, koło których widnieją drobne napisy. Brak jednego etapu martyrologii naszego Narodu—Powstania Styczniowego. W on czas, kryjąc się po lasach, walczyła garstka partyzantów—i ginęła. Nie zostawało po niej żadnych mundurów, krzyży—zostało tylko wspomnienie, święte dla potomnych.

Ostatnia karta dziejów: Strzelcy. Drużyny Bartoszewe. Na obczyźnie. Hallerczycy. Baśka Murmańska. Dzieci Lwowa Rok 1920. Krzyż, wyjęty z rąk konającego księdza Skorupki. A nad tem wszystkiem portret tego, co widział Ich do ofiar i zwycięstwa. W ostatniej sali sztandary bolszewickie. Rosyjskie napisy. Dla tych, co znali Rosję sowiecką, wspomnienie chwil czarnych, ciężkich.

Słowacki powiedział, że w Panu Tadeuszu czas stanął, by jeszcze raz obejrzeć się, a tutaj, w tych salach, zamieszkał chyba czarodziej, który skinieniem swej laski wywołuje z przeszłości

obraz za obrazem i zmusza do powtórnego jej przeżywania. Ale robi to celowo. Rzucą przed oczy wielkie czyny tych ludzi, jak-by dla przeciwstawienia ich naszej bierności.

Cóż my możemy uczynić dla Ojczyzny?

Tamci oddali jej siły, energję, krew, życie — wszystko, co mieli najdroższego. A my? Lecz oto On, co był przewodnikiem walczących, uśmiecha się ku nam i mówi: „Nadchodzą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy”. Tak! po święcie ofiary nastały szare dni pracy. Pracownikiem winien być każdy obywatel Polski i każdy z tych pracowników musi wyteńczyć całą swą siłę i całą energję, by z tego wyścigu wyjść zwycięzcą. A taka praca-walka również potrzebuje ofiar, jak walka, orężna i jest może równie wielka i radosna, jak tamta. A może trudniejsza? IV ż.

POTOKI.

Płyną potoki, płyną. Płyną wzburzone, wezbrane, chybkie, jak jaskółki, płyną hen, w siną dal — jak życie.

Niektóre płyną po równinie, miękko i cudnie usłanej ko-biercem traw, barwnej kwiatami, płyną swobodnie — rozchichotane, wesole, rozpluskane... Niema na drodze skał, porohów, nic — tylko cudna i barwna równina. Hej! jak wesoło płynąć i płynąć swobodnie i chyżo do swej dali promiennej blaskiem słońca! Lecz czasem jasny widnokrąg zachmurzy się złowrogo. Nic to! Płyną dalej potoki z wiarą i nadzieją, że ujrzą jeszcze blask słońca.

Inne—mają podłoże twarde, kamieniste, nagie i puste. Niema tu traw, kwiatów, słońca — tylko kamienista, twarda gleba, na której gdzieniegdzie szare głogi lub ostre ciernie rosną. Gdzież świetlana dal tych potoków? Niema jej. Na horyzoncie chmury szare, ołowiane, ciężkie... Żle i smutno płynąć takim potokom! Płyną leniwe, ociężałe, beznadziejne...

Jeszcze inne płyną wśród gór, skał, wypiętrzeń — w mro-kach dolin. Płyną wezbrane, wzburzone, wspinają się na skały, gryzą je i, odparte, spadają w dół, w doliny. I znów spienione, wściekle rzucają się na góry i wypiętrzenia, torują sobie drogę i — znowu odparte — wracają. I walka ta trwa ciągle. A gdzie ich słoneczny horyzont? Niema. Zakrywają go góry i skały. Prze-lamać je trzeba, a wtedy ukaże się słońce. A czy sił starczy?

Niektóre mają wody jasne, czyste i kryształowe. Toczą je i toczą w dal siną... Niebo się w nich odbija takie jasne i czyste, jak one,

Płyńcie, płyńcie lazurowe, potoki! Przerzynajcie zielone równiny, złóbcie jary w glebie kamienistej, gryźcie zębem skały, lecz niech wasze wody będą zawsze czyste, błękitne i kryształowe.

Inne mają wody stalowe, mętne, szare. Nie odbija się w nich niebo, bo się ich jasność, bo i one się jej boją.

I wy płyńcie szare potoki! Czemuz to wasze wody takie mętne? Płyńcie przez obszary krasowe, przefiltrujcie swe wody, a będą one czyste, jasne i błękitne.

Jeszcze inne mają wody czarne prawie, tak mętne. Od tych i zieleń łąk i barwa kwiecica i niebieski lazur ucieka. I wy też płyńcie, czarne potoki, ale was żadna gleba nie przefiltruje, tak jesteście mętne. Wy zawsze czarne będziecie.

Płyną chybkie potoki! Czasem spotkają się z sobą, jeden drugiemu wody zmaci, lub pracę zniszczy i płyną dalej.

A gdzież ich kres?

Niektóre dopłyną do swej świetlanej dali i znikną w niej. Zostaną po nich dolinki żyzne, namulone — praca potoków. Inne — wyschną wśród puste, bezsłonecznej równiny i zostawią jar głęboki — pracę swą.

Jeszcze inne wpadną w szczeliny górskie, rozbiją się o skałę na strumyki — wyschną. Zostawią jednak po sobie rumowiska skalne, poszarpane zbocza — też ich praca.

Hej! Płyną potoki, płyną. Płyną, wzburzone, wezbrane, chybkie jak jaskółki, płyną hen, w siną dal — jak życie człowiecze.

Bożenna I ż.

U wodogrzmotów Mickiewicza.

Hen, niedaleko od Morskiego oka,

Kędy się droga chyli nieco wprawo,

Wcięła się w granit dolina głęboka

Z kaskadą wody, pędzącej z gór żwawo.

Lecz któż ten urok wrażenia opisze,

Jakim cię darzą wodospadu wody?

Ogrom żywiołu człeka ukołysze

I rzuci, zda się, w białej piany chłody.

Wodospad huczy, pieni się, szaleje,

Olbrzymi ciężar na głaz niemy spada,

Iskrami pyłu wodnego bieleje...

Któż mu dał tę moc i kto nim włada?

Człowiek, potęgą wód oszołomiony,

Spogląda w głębie z niemem uwielbieniem,

A wody grają, jak tysiączne dwony,

I, jak pieśń dzwonów, spływają strumieniem.

W. Dudziński,

DZIEŃ HARCERSTWA.

W dniu 25 marca kaplica naszego Seminarjum wypełniła się po brzegi młodzieżą.

Po lewej stronie ustawiły się parami harcerki, po prawej harcerze; za nimi zaś wszyscy uczniowie i uczennice Seminarjum i przedstawicielstwo harcerstwa z miasta.

W dniu tym IV drużyna męska święciła rocznicę śmierci na polu chwały dwóch byłych uczniów naszego Seminarjum, harcerzy: śp. Zbigniewa Roszczyka i Romana Hryniewieckiego.

W dniu tym odbyło się również przyrzeczenie harcerskie. Uroczystość harcerska stała się zarazem uroczystością całej szkoły.

Po skończonej mszy św. dziesięciu młodych zuchów, kładąc palce na sztandarze, złożyło przysięgę na wierność „Bogu i Ojczyźnie”. Przyrzekli iść drogą prawą i dusze zachować czyste, nieskalane.

Oby wytrwali i dotrzymali przyrzeczenia!

Po przysiędze wszyscy ruszyli na parter, do tablicy pamiątkowej, ufundowanej ku czci naszych młodych bohaterów, aby im oddać hołd.

Wokoło tablicy zieleń, kwiaty... a pośród nich znak krzyża harcerskiego i słowa: „Czuwaj”!

Drużynowy Deptuła wygłosił przemówienie okolicznościowe. Myśli nasze przeniosły się do czasów odległych, wstecz o lat osiem, i wywołały obrazy onych krwawych walk o niepodległość Polski, onych usilnych zmagających się z wrogiem.

Wtedy to tłumy młodzieży naszej stawały pod bronią i szły bić się za Polskę.

Wielu wróciło, ale wielu zginęło. Dwaj harcerze, nasi koledzy, wyruszyli również, ale nie wrócili.

Zginęli za Polskę, którą miłowali całą mocą ducha, całym zapałem młodzieńczym.

Zginęli, aby Polska stała się wolna, niepodległa.

Mogiłę jednego z nich odnaleziono; mogiła drugiego jest nieznaną. Spoczywa gdzieś, wśród mogił żołnierzy.

Śpij, żołnierzu nasz nieznaną — i niech Ci się śni Polska jasna, wolna, okryta aureolą chwały i potęgi; ta Polska, za którą walczyłeś i za którą poległeś.

Śpij, młody bohaterze, spokojny, bo ofiara Twego życia nie poszła na marne.

Mogiła Twoja nieznaną, ale czyny Twoje znane są nam wszystkim i pamięć o Tobie tkwi w każdym Polaku.

Cześć Wam i chwała, młodzi bohaterzy!

Po przemówieniu druz. Deptuły scharakteryzował p. prof. Wołosewicz w krótkich słowach r. 1920 w Polsce i ruchu młodzieży, rwącej się do walki z wrogiem.

Odśpiewaniem Roty zakończono uroczystość poranną.

O godzinie siódmej urządziło harcerstwo wieczornicę, na którą złożyły się referaty, deklamacje i chór.

Z referatu kol. Hakego poznaliśmy życie i czyny Zawiszy Czarnego.

Postać tego rycerza nawet po pięciu wiekach nie straciła swego uroku, ale rysuje się w naszej wyobraźni, jako potężna sylwetka, jako uosobienie męża bohaterskich czynów, stalowego charakteru i rycerskiej cnoty.

Jego mocarne ramiona, w ciągłym trudzie i znoju, dźwigały ku szczytom majestat i potęgę Rzeczypospolitej.

Dzielność osobista i dotrzymywanie słowa czynią z Zawiszy Czarnego synonim słowności i prawości, dlatego prawo harcerskie stawia tę wspaniałą postać dziejową za wzór do naśladowania.

Imię Zawiszy Czarnego przeniknęło pamięć i serce polskiego narodu, jako przysłowie i jako wzniosła pieśń poetów.

Kolega Sobolewski w następnym referacie przedstawił rozwój harcerstwa na terenie Seminarjum.

Pierwsza drużyna została zawiązana w r. 1920.

Praca kilkakrotnie upadała i była podejmowana.

Od r. 1924-5 drużyna żyje, pracuje i rozwija się normalnie. W tym czasie miała ona trzech drużynowych; obecnym jest kolega Deptuła.

Przez drużynę przeszło około 300 członków. Harcerzami ze szkoły wyszło 24 i obecnie 8 prowadzi drużyny w szkole powszechnej.

Dorobek materialny drużyny wynosi 250 zł., biblioteczka posiada 120 książek.

Po skończonym referacie ogłoszone zostały dwa utwory Konopnickiej: „O młodym żołnierzu” i „O przyrzeczeniu”.

Następnie przedstawił p. Krawczyk w swym pięknym przemówieniu idee młodzieży wogóle, a harcerstwa w szczególności. Między innymi stwierdził mówca, że zastraszającym objawem u obecnej młodzieży jest to, iż nie stawia ona sobie za cel życia jakichś wyższych idei i dążeń, aby uszlachetnić charakter.

Błędne jest mniemanie tych ludzi, którzy twierdzą, że harcerstwo to tylko nauka tropienia, wdrożenie w umysł przykazań harcerskich i t. p.

Harcerstwo dąży do czego innego: ideą jego jest przede wszystkim wyrobienie charakteru i zwyciężanie siebie.

To właśnie powinno być myślą przewodnią całej młodzieży i jeżeli kto, to my powinniśmy sobie wziąć mocno do serca słowa p. prof. Krawczyka.

Po skończeniu Seminarjum powierzy nam społeczeństwo dusze dziecięce. Mamy rzeźbić z nich dzielne charaktery. Aby zaś innych umieć prowadzić i innymi charakterami kierować, trzeba w pierw swój ująć w karby dyscypliny i kierować nim mocno i nieustępliwie.

Słowa: „Młodzież musi być jasna, czysta i zacna” zakończył p. Krawczyk swoje przemówienie.

Chór męski odśpiewał: „Marsz żałobny” i „Marsz bojowy”. Brawurowymi słowami drugiej pieśni zakończono wieczór.

Skala.

DO GWIAZDY.

*Sączą się myśli słów barwnych strumieniem
Do gwiazdki jasnej, co się na zachodzie,
Wieczornych mroków otoczona cieniem,
Purpurą krwawi i przeziiera w wodzie.*

*O płoń nam, gwiazdko, w życiu świętym zniczem
I wskazuj drogę do przybytku Boga,
Byśmy, stanąwszy przed Prawdy Obliczem,
Prawdą być mogli, o gwiazdeczko droga.*

*Niech obdarzony twym jasnym promykiem
Człowiek w swem sercu zaszczepli krzew cnoty,
Ty z błędnej drogi zwracaj go okrzykiem,
I w męce życia dodaj mu ochoty.*

W. Dudziński.

W naszym internacie.

Wstąpiłem do internatu 6-go września 1927 r. Z początku to było mi tu dość smutno. Trwało to dopóty, dopóki nie zażyłem się z kolegami, porządkiem i punktualnością, jaka panuje w naszym internacie. Odtąd życie moje szło innym trybem.

Rano jeden z wychowawców przychodzi do sypialni i budzi wszystkich, wołając: „Pobudka!”

Słyszymy też codziennie: „Wychodzić na gimnastykę!”

Pod wpływem tych słów wszyscy ubierają się w ubranka gimnastyczne i wychodzą na korytarz. Gimnastyka trwa 15 minut. Po gimnastyce każdy z nas idzie do umywalni, żeby się dobrze wymyć i ochłodzić. Tu dopiero słyszy się różne żarty i śmiechy, a czasem nawet i skargi.

Już się wszyscy umyli, tylko dyżurni uwijają się ze szczotkami, ale widać po ich minach, że niebardzo z tego zadowoleni. Ano, może nie potrafią dobrze spełnić swej powinności, pan wychowawca zawsze znajdzie coś do poprawki. Potem rozlega się dzwonek i wszyscy idą na modlitwę. Jeden z kolegów mówi modlitwę głośno, a wszyscy mu odpowiadają. Po modlitwie rozlega się drugi dzwonek, ten zwołuje na śniadanie. Wszyscy idą do sali jadalnej. Tu na pierwszym kroku rzuca się w oczy porządek, organizacja. Życie bowiem w naszym internacie opiera się na organizacji samorządowej, a mianowicie: na czele stoi przodownik całego internatu, prócz niego mamy trzech gospodarzy, skarbnika, kronikarza i gospodarza „stołówki”.

Przodownik wyznacza dyżurnych. W stołówce także są wyznaczani dyżurni, którzy nakrywają dla wszystkich. Dyżurni są wyznaczani na cały tydzień. Po śniadaniu bierze każdy internista książki i idzie na lekcje. Po lekcjach obiad. Podczas obiadu jest dość gwarno przy każdym stole, z wyjątkiem tego, przy którym siedzą pierwszokursiści i jeszcze inne kursy. Do stołówki przychodzi nieraz Pani Przełożona i biada nam, kiedy zacznie któremu z nas pokazywać, jak ma trzymać widelec lub nóż i w której ręce.

To wtedy nie żarty: odnośni koledzy oblewają się zimnym potem. Po obiedzie idzie każdy z nas na spacer do parku lub do miasta, ażeby odetchnąć świeżym powietrzem. Reszta dnia schodzi nam na odrabianiu lekcji i czytaniu książek. Po kolacji może, kto chce, iść do czytelnicy—choć to święty obowiązek każdego ucznia naszego Seminarjum. Wreszcie słychać dzwonek na modlitwę wieczorną. To każdego cieszy, ponieważ jest zmęczony i pragnie wypocząć. W sypalni długo jeszcze słychać śmiechy i rozmowy, lecz powoli wszystko milknie, nastaje wielka cisza, przerywana tylko równomiernymi oddechami kolegów.

Życie w naszym internacie w dniu powszednim jest naogół dosyć jednostajne. Co do niedzieli—to inna sprawa. Prawie każdej niedzieli mamy jakiś odczyt, z którego odnosimy duże korzyści. Oprócz odczytów miewamy jeszcze zabawy internatowe. Te niestety trwają krótko, bo zaledwie od 1 do 2 godzin.

J. P. I. m.

Wieczór ku czci patrona I kursu męskiego.

Gmina pierwszego kursu męskiego miała wielki kłopot z wybraniem patrona. Aż na jednym z zebrań gminy podano kilku kandydatów na patrona. Kolega N. podał na kandydata T. Kościuszkę, kol. R. — J. Słowackiego, kol. P. — R. Traugutta. Na wniosek kol. R. postanowiono na następnym zebraniu gminy odpowiednio wygłosić referaty w sprawie tych kandydatów. Nareszcie przysłała ta oczekiwana sobota. Na 6 godz. mieliśmy zebranie gminy. Koledzy wygłaszają każdy swój referat. Po wygłoszeniu referatów przystępujemy do głosowania. Większością głosów został wybrany na patrona T. Kościuszko.

Teraz drugi, jeszcze większy kłopot: skąd wziąć obraz T. Kościuszki?! Z tego kłopotu wybawił nas kol. E., podając projekt, żeby portret Kościuszki wymalował kol. T. „Antek” — ów kolega podjął się wykonania tego portretu, a kol. N. zrobienia ramy. Nareszcie wszystko gotowe. Teraz tylko trzeba uczcić patrona. I z tem daliśmy sobie radę.

Dyrekcja wyznaczyła nam na ten cel wieczór 11 marca. Po długich oczekiwaniach nadszedł ten kochany dzień. O godzinie 4 po południu przyszedli koledzy przystroić aulę i przygotować miejsca dla widzów. Kol. A. nie dał się w niczem prześcignąć. Kol. S. nosił po cztery ławki i nie było mu ciężko. Kol. E. też nie próżnował, bo aż okna drżały od jego głosu. Miał wygłosić referat o Kościuszcze i starał się jak najlepiej wywiązać się ze swego zadania.

Wreszcie wszystko gotowe. Po lewej stronie przy scenie widać było obraz Kościuszki, przybrany w zieleń. O godzinie 6 młodzież zaczęła tłumnie gnać się do auli. Zajmowano miejsca i siedziano cicho, przypatrując się portretowi, a zarazem podziwiając zdolności malarskie kol. T.

Niektóre koleżanki wspinały się na palcach, chcąc zobaczyć naszego artystę, lecz ten skrył się gdzieś w kącie za kolegów.

Gwary cichną, kurtyna rozsuwa się i na scenę wychodzi przodownik I-go kursu m.

Silnym głosem zaznajomił obecnych z porządkiem wieczornicy. Za chwilę kurtyna znów się uchyliła i na scenę wyszedł kol. P. Ten wygłosił wiersz p. t. „Racławice”. Potem jeszcze kol. J. deklamował wiersz, następnie kol. E. wygłosił referat o T. Kościuszcze. Co do referatu to kol. E. nie można nic zarzucić. Zapewne referat kosztował go kilka godzin pracy, ale autor wywiązał się ze swego zadania jak najlepiej. Po wy-

głoszeniu go deklamował kol. B. wiersz p.t. „Pogrzeb Kościuszki”. Deklamacja ta wypadła naogół dość dobrze; szkoda tylko, że kol. B.—czy dlatego, że był bardzo przejęty, czy może dzięki aż dwóm suflerom zapomniał powiedzieć tytuł wiersza. Uczynił to dopiero po przedeklamowaniu jednej zwrotki. Trochę to śmieszło. Po deklamacjach odbył się koncert. Koncert był wykonany przez kolegów ze starszych kursów, Kuleszę i Szubzdę. Po koncercie podziękował przodownik z całego serca w imieniu całej gminy I k. m. wszystkim obecnym na sali i szczególnie kolegom, którzy wzięli czynny udział w urządzeniu tego wieczoru.

Tak zakończyło się święto uczczenia patrona I k. m.

J. P. I k. m.

KRONIKA.

18 marca. Odbył się uroczysty obchód z okazji imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego. Młodzież Seminarjum wzięła liczny udział w defiladzie i odbytej w tutejszym teatrze „Palace” akademji.

27 marca. Czwarta Męska Szkolna Druż. Harc. urządziła „Dzień harcerski”.

Na program złożyły się:

- 1) Msza św. i Przyrzeczenie.
- 2) Uczczenie pamięci poległych w roku 1920 kolegów.
- 3) Obchód pięćsetlecia śmierci Zawiszy Czarnego i ośmiolecia istnienia drużyny.

Całość wypadła dobrze.

1 kwietnia. Staraniem kursu III. z. odbył się wieczór ku czci Marji Konopnickiej. Podano obszerny życiorys poetki i charakterystykę jej twórczości. Miłe wrażenie wywarły odnośne deklamacje i śpiewy.

(Od dnia 4 do 16 kwietnia włącznie z powodu feryj wielkanocnych zostały zawieszony wszelkie czynności w U. S. S Br. Pomocy.

Odpowiedzi Redakcji.

„Jodła”. Widoczny pewien polot poetycki, ale są i uroszczenia. Mnóstwo słów—mało treści. Nie nadaje się do naszego pisemka.

„Do Redaktora Młodej Myśli”. Postanowiliśmy wydrukować w jednym z następnych numerów, po dokonaniu kilku stylistycznych poprawek.

„W Zaduszkach”. Rzecz wartościowa. Zamieścimy w majowym numerze.

„Cudowne odkrycia naukowe”. Radzimy odczytać uważnie zwrócony rękopis. Jeżeli potem autor nie uzna za słuszny naszego zarzutu, że bogata i lotna fantazja, niby rozhukany rumak swego wcznicę, poniosła autora tym razem na manowce niedorzeczności—to mocno się zdziwimy. A szkoda!

Temat bowiem na czasie — wszak żyjemy pod znakiem techniki. Prosimy nie zrażać się krytyką, w przyszłości przykrócić cugle rozswawolonej imaginacji i nie wypuszczać jej poza granice prawdopodobieństwa. Stylowi nie zaszkodziłoby więcej jasności i prostoty.

„Wiedza a postęp”. Temat niejasno sformułowany, co się niekorzystnie odbiło na treści. Początek, traktujący o stosunku człowieka pierwotnego do przyrody, jest naprawdę ciekawy i pełen poetyckiego polotu. Reszta artykułu znacznie gorsza: brak jednolitego nastroju, rażą przeskok i nierządki rozbrat z logiką.

Rzecz, pomyślana zrazu jako artykuł popularno-naukowy, przybiera później formę, obarczoną wszystkimi znamionami „naukowej” fantazji. Byłoby nam jednak przykro, gdyby uwagi niniejsze wpłynąć miały na autora zniechęcająco.

„Kartka z dziejów”. Ujmuje szczerzy i głęboki zapal patriotyczny, jaki przebija z całości. Żałujemy atoli, że złożyły się na nią dwie części, mało do siebie przystające: rozprawka o zakroju liryczno-refleksyjnym i obrazek z naszej martyrologji powstańczej, w zamierzeniu poetycki, w wykonaniu mdły i sztuczny.

Pomysł wprowadzenia do wizji powstańca ptaka ze skrzydłami, na których widnieją daty 1863, 1905, 1914, uważamy za chybiony pod względem artystycznym.

W stylu chcielibyśmy widzieć więcej naturalności, a mniej patosu.

„Dwie walki”. Temat uważamy za wybrany szczęśliwie. Pociąga ten Farysowy motyw walki z przeszkodami. Ujęcie rzeczy jest mniej udatne, a koniec akcji zgoła nieoczekiwany—pesymistyczny. W stylu miłe nas uderza porywający rozmach liryczny. Nie skorzystamy.

„Sen anachorety”. Fantazja piękna, choć porusza stary jak świat motyw walki człowieka z Arymanem. Rażą za jaskrawe cokolwiek barwy, w malowaniu wizji anachorety użyte.

Styl ma poza tem duże wartości estetyczne. Druk odkładamy do następnego numeru.

„Człowiek i przyroda”. Nie widzimy potrzeby zamieszczenia w naszym uczniowskim piśmie artykułu podobnie rozwlekłego, a będącego, dosyć nieudolną zresztą, parafrazą odnośnego podręcznika. Podłoże myślowe rozprawki skrajnie materialistyczne, a przecież „ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwyków”.

Wiersz „Ach, gdy siedząc”... Treść wydaje się nam mało aktualną obecnie. W kompozycji zbyt widoczny wysiłek, włożony w robotę rymotwórczą, ze szkodą dla zawartości myślowej poematu. Nie będziemy drukowali.

„Z zebrania gminy”. Farsę tę—innej nazwy nie uważamy tu za stosowną—zaliczyliśmy do tych utworów, do których niechętnie przyznają się autorowie w chwilach głębszej rozwagi. Jaka dysproporcja pomiędzy zdolnościami a wynikiem! W artykule wprawdzie czuje się miejscami rzetelny, nienaciągany humor, ale w całości za wiele jest taniego i płaskiego komizmu i niewybredności językowej. Posługując się ironją, jako środkiem komicznym, trzeba baczyć pilnie, by nie popaść w manierę!

„Wiosna”. Jakoś trudno nam pogodzić nasze dotychczasowe rozumienie poezji z tym pełnym radości, triumfalnym pochodem królowy-wiosny, któremu do taktu przygrywa zbyt poważna i ociężała rytmicznie muzyka wiersza.

Czyż nie lepiej było użyć skoczniejszego, niż tamten wiersz, ośmiozgłoskowca? Miejscami kuleje nie tylko rytm, ale i myśl. Czytelnik odczuwa trud rymowania, czytając ten rozwlekły poemat. Ekonomia słów—to sztuka niełatwa i ważna! Jako dowód zdolności rymotwórczych, uznajemy utwór—pomimo powyższych uwag—za miłą dla nas niespodziankę. Nie tracić nadziei!

„Z mojego pamiętnika”. Podzielamy słuszny żal autora. Opisany wypadek nie jest odosobniony—to jeden z cieni naszej powojennej rzeczywistości. Ale czy Matka-Ojczyzna jest w stanie opatrzyć wszystkie rany, w Jej odniesione obronie?

Styl bezbarwny, „mały”. Chcielibyśmy, by o tak drogich nam sprawach mówiono „prosto a z krzykiem” serca!

Drukarnia Diecezjalna
w Łomży.